

Chryzostom Jarosław Fryc ofm

*dr prawa kanonicznego*

*Sędzia Kościelnego Trybunału Regionalnego Etruskiego we Florencji*

*Przełożony klasztoru św. Bernardyna ze Sieny*

*Kustosz Sanktuarium Diecezjalnego Madonna del Rifugio*

Sinalunga (Włochy)

Mój kontakt z Gorzowem Wlkp. rozluźnił się znacznie, kiedy w 1984 r. wyjechałem na studia, najpierw na medycynę do Poznania, z której szybko zrezygnowałem, by podjąć studia filozoficzne w Wyższym Seminarium Duchownym w Gościkowie-Paradyżu, a na końcu rozpocząć życie w Zakonie Braci Mniejszych. Wspólnota gorzowska pozostała w moim sercu, tu też na cmentarzu komunalnym odwiedzam moją rodzinę, jak i wielu przyjaciół i znajomych. Gienia Flaczyk, z którą mam zawsze „wirtualny” kontakt przypominała nie raz, abym napisał wspomnienie o ks. Prałacie Witoldzie Andrzejewskim, który i w moim życiu odegrał ważną rolę. Zajrzałem ostatnio do „sieci” i znalazłem tam już wiele artykułów na temat „Szefa”- często zawierają to, co i ja dziś pragnę przypomnieć z mojej przygody z tym księdzem o tubalnym głosie, zawsze w dobrym humorze, żartownisiu z (tak jak go pamiętam) nieodzownym papierosem...

Pierwsze spotkanie z Szefem nastąpiło, kiedy skierowano go do naszej parafii katedralnej jako nowego wikarego. W ten sposób stał się katechetą mojej siostry Hanny, starszej ode mnie o pięć lat. Hania chodziła wtedy do I ogólniaka na Puszkina i wspominała w domu o ciekawych katechezach, jeszcze wtedy przy parafii, które prowadził Andrzejewski. Co było w nich takiego ciekawego? Ten młody kapłan z dużym doświadczeniem życiowym oraz pracą jako aktor w gorzowskim teatrze potrafił tych młodych, buntujących się ludzi rozpałić do pokochania własnej ojczyzny, własnego życia i własnej wiary katolickiej. To za przyczyną tych katechez moja siostra zachęciła swoją przyjaciółkę, która nie była wychowana w wierze katolickiej, do powolnego poznania i świadomego wyboru i przygotowania się do sakramentów w Kościele Katolickim.

Kiedy rozpocząłem w roku 1980 naukę w I ogólniaku, zachęcony opowiadaniem mojej siostry, jako poszukujący chłopak, zapisałem się na religię do ks. Andrzejewskiego. Było nas bardzo dużo, pamiętam, że momentami katecheza, prowadzona w salkach przy ul. Obotryckiej, musiała odbywać się w sali, która miała rozsuwane drzwi, aby udostępnić kolejne pomieszczenie dla wszystkich, którzy przyszli.

Podczas katechez ks. Andrzejewski opowiadał też o innych swoich doświadczeniach i działalności. W ten sposób, zachęcony świadectwem Szefa o swoich rekolekcjach odbytych u benedyktynów w Tyńcu (pamiętam, że o. Augustyn Jankowski, benedyktyn, ówczesny opat w Tyńcu, zaprosił Szefa z rekolekcjami, dlatego, że byli spokrewnieni), pierwszy raz wyłoniłem się z tłumu anonimowych uczniów i po katechezie miałem okazję pogadać prywatnie z moim katechetą. Pierwsza rozmowa (możemy ją nazwać duchową), ukazała dużo moich wątpliwości, ale też pozwoliła znaleźć kapłana, który z wielką wyrozumiałością, ogromną miłością do każdego człowieka, z cierpliwością i poświęceniem, wysłuchał smarkacza, który jeszcze sam nie wiedział, czego chciał od życia. To zdarzenie wpłynęło na dalsze moje kontakty z ks. Andrzejewskim, już nie tylko katechetą, ale i przewodnikiem duchowym, z którym się mogłem konfrontować oraz z przyjacielem. Po jakimś czasie zaproponował mi udział w rekolekcjach u benedyktynów w Lubiniu pod Poznaniem. Tam miałem okazję poznać inny z przyjaciół Szefa – o. Leona Knabita i o. Karola Meissnera.

Dopiero po roku czasu naszych rozmów zacząłem przychodzić też na msze akademickie na plebanię. Nie bardzo wiedziałem, jak przyjmą mnie studenci, którzy już tam bywali, bo ja uczęszczałem dopiero do drugiej klasy ogólniaka. Jednak - zachęcony przez Szefa - poznałem w ten sposób wspaniałych ludzi, którzy jak ja gromadzili się wokół tego charyzmatycznego kapłana.

Studenci chodzili też na pielgrzymki na Jasną Górę, ale jeszcze wtedy nie z Gorzowa, tylko z Warszawy, dlatego jak tylko to stało się możliwe, to wraz z ks. Andrzejewskim zacząłem uczestniczyć w pieszych akademickich pielgrzymkach z Warszawy. To doświadczenie nie tylko religijne, ale nade wszystko doświadczenie wspólnoty i jedności z innymi młodymi ludźmi, pragnącymi wolnego kraju i chcącymi walczyć o tę wolność, polskość oraz katolickość z systemem komunistycznym, który próbował opanować cały naród. Moja przygoda z pielgrzymką trwała bardzo długo: jak tylko moje obowiązki na to pozwalały, chodziłem z Szeferem najpierw z Warszawy, potem z diecezjalną pielgrzymką gorzowską, i wreszcie, kiedy przekazał pałeczkę głównego organizatora innym kapłanom, ale pielgrzymował jako przewodnik czy ojciec duchowny pielgrzymki. W konsekwencji mogę powiedzieć, że przeszedłem z nim wiele kilometrów, chyba w sumie dwanaście czy trzynaście razy uczestniczyłem w tych pielgrzymkach. Potem z racji działalności na rzecz młodzieży zagrożonej narkotykami chodziłem na pielgrzymki z ks. Szpakiem i ks. Andrzejewskiego spotykałem już w Częstochowie.

Nasz I ogólniak był specyficzny i bardzo „wywrotowy” dla ówczesnej władzy, stąd w pewnym momencie zaproponowano mi, jak się domyślałem, za wyborem Szefera, współpracę z MRO (Młodzieżowym Ruchu Oporu), który szybko przerodził się w RMN, czyli Ruch Młodzieży Niezależnej. Szefer wiedział dobrze, że nasze mieszkanie na Strzeleckiej stało się swoistą biblioteką literatury podziemnej. Często zachęcał do przeczytania tej czy innej pozycji, którą mieliśmy u nas i szybko mogliśmy przekazać innym.

Andrzejewski był też mentorem, który dbał o rozwój biblioteki, ale i pisemek podziemnych: „Szaniec” czy „Sokół”. Często dyskutowaliśmy nad treścią artykułów, które miały się ukazać lub już zostały opublikowane. Ten okres pozwolił poznać mi wspaniałych ludzi, którzy wycierpieli się dla wolnej Ojczyzny, takich jak Marek Rusakiewicz, Krzysztof Sobolewski czy bracia Popielowie.

W trzeciej klasie ogólniaka zostałem wybrany do samorządu szkolnego i stąd bardziej zauważony przez ówczesną dyrekcję. Dopóki uczestniczyłem w różnych olimpiadach i zdobywałem nagrody, nikt nie przejmował się moją „ekstrawagancją” noszenia krzyżyka „na zewnątrz”, ale od momentu uczestniczenia w samorządzie szkolnym, wicedyrektor i niektórzy nauczyciele „partyjni” okazywali wielkie niezadowolenie i często groziliby, że nie zdam matury. W tych latach Andrzejewski potrafił dodać mi odwagi i uformował moją opinię tak, iż potrafiłem się samodzielnie przeciwstawić i bronić. Miałem też satysfakcję zawieszenia krzyża w naszej szkole, po poświęceniu go podczas mszy sprawowanej przez Szefera w kościele na Mieszka I-go.

Okres przed maturą to czas wielu rozmów z Szeferem. Chyba tak jak on klóciłem się z Bogiem co do drogi mojego powołania. Wybór ogólniaka to był etap realizacji mojego marzenia zostania lekarzem, chirurgiem, który będzie pomagał ludziom. Z drugiej strony było coś nie do końca jeszcze sprecyzowane, ale dziś śmiało mogę powiedzieć, że Szefer to przeczuwał i z wielką delikatnością oraz mądrością kierował moją duszą. Egzamin wstępny na medycynę i rozczarowanie, z którym przyszedłem do niego oraz długa rozmowa, w której zaproponował mi: „Jeżeli nie wiesz, czego Bóg chce od Ciebie, czemu nie spróbujesz i nie rozpoczniesz studiów w seminarium duchownym...?” Wiedziałem, że to nie jest moje powołanie, że szukam jakiejś formy życia zakonnego, ale skoro potrzebowałem czasu na rozeznanie, stwierdziłem, że mogę spróbować i rozpocząć studia filozoficzne w Paradyżu. Do 1986 roku ks. Andrzejewski, który przyjeżdżał regularnie do Paradyża, był dla mnie ojcem duchownym i kierownikiem, i to pod jego okiem dorastała decyzja przejścia do zakonu. Muszę podkreślić jego delikatność w rozmowach, ale i uszanowanie moich argumentów oraz wolności wyboru. Wiem, że cieszył się moim rozwojem i na pewno nie byłoby mu przykro, gdybym został też w diecezji. Mogę powiedzieć, że mi „ojcował” - Szefer wiedział o mojej

sytuacji w domu, gdzie mój partyjny ojciec, dowiedziawszy się o moim zamiarze wstąpienia do seminarium, wyklął mnie z rodziny.

Gdy przyjeżdżałem do Gorzowa, to często przesiadywałem u Szefa, bo zawsze działo się coś interesującego, a nasz rocznik seminaryjny był uzdolniony aktorsko, dlatego Szef pomagał nam w zdobyciu potrzebnych rekwizytów. Spotkania u niego pozwalały na utrzymywanie kontaktów z wieloma przyjaciółmi i znajomymi, którzy u Szefa się pojawiali.

Po wakacjach w 1986 r. przyszła wiadomość, że Szefa przeniesiono na stanowisko proboszcza parafii Matki Bożej Różańcowej na Strażackiej w Gorzowie. Dla mnie był to rok, w którym rozpocząłem nowicjat w Zakonie Braci Mniejszych i dopiero w kolejne wakacje spotkałem się z ks. Andrzejewskim. W tym czasie zmarł mój ojciec, z którym zdążyłem się pojednać, a raczej to on potrzebował tego pojednania, nawrócenia i sakramentów, które przyjął przed swoim odejściem do Pana. Dokonało się to za przyczyną Szefa, bo prosiłem go, aby któryś z kapłanów nawiedzał mojego ojca w szpitalu, który leżał tam już od dłuższego czasu.

Był też i ciekawy epizod związany ze SB, które próbowało założyć podsłuch i inwigilować moją rodzinę (w domu pozostała siostra, chora na stwardnienie rozsiane oraz mama, która opiekowała się nią w domu i ojcem w szpitalu). Przed śmiercią mojego ojca, jesienią 1986 r. przyjechał do nich chłopak, który przedstawił się jako Jasiu, pomocnik w klasztorze osieckim, gdzie odbywałem nowicjat. Opowiadał bardzo dokładnie, co dzieje się w nowicjacie, jak żyjemy, mieszkamy itd. Koniecznie chciał zatrzymać się na dłużej u nas w domu, a ponieważ były to czasy, kiedy niełatwo było dodzwonić się z jednego miejsca do drugiego, dopiero po dwóch dniach jego pobytu moja mama zadzwoniła do mnie. Kiedy dowiedziała się, że ów człowiek jest mi nieznany, szybko się go pozbyła, a ja prosiłem, aby sprawdzono nasz dom, czy są jakieś podsłuchy. Z pomocą znajomych ks. Witolda pozbyliśmy się wtedy założonych „pluskiew”, a owego „Jasia” moja mama spotkała w Stilonie, gdzie był związany z organami partyjnymi.

Każdy z nas domyślał się, że to „lepsze” stanowisko proboszcza na Strażackiej było spowodowane naciskiem służb na Ordynariusza, aby ks. Andrzejewski nie pracował przy katedrze, gdzie miał wielki wpływ na młodzież i wzrost patriotyzmu w mieszkańcach Gorzowa i okolicy. Pamiętam, że w rozmowie ze mną, młodym chłopakiem na drodze życia zakonnego, Szef mówił, że zdaje sobie sprawę, iż to był pewien kompromis położonych, ale ukochał parafię, do której został posłany. Zaproponował wtedy, abym przyjeżdżał na Wielkanoc i Boże Narodzenie do pomocy, co było możliwe dzięki przychylności moich przełożonych. Spotkania świąteczne były okazjami do wielu rozmów z Szefem i do dzielenia się wieloma ciekawymi spostrzeżeniami. Bardzo uważnie wysłuchiwał też moich przemyśleń.

Kiedy ks. Witold został proboszczem w parafii Niepokalanego Poczęcia NMP w Gorzowie, ja już kończyłem prawie studia teologiczne w Katowicach – Panewnikach. Nie mógł przyjechać ani na moje śluby wieczyste ani na diakonat czy święcenia, bo choroba już mu na to nie pozwalała i bał się zbyt długich podróży. Poza tym uroczystości te odbywały się w święta, kiedy Szef nie mógł pozostawić parafii, ale zawsze w jakiś sposób był obecny: czy to przez bilecik z życzeniami, podanym przez moją rodzinę czy telefon do mnie.

Po święceniach diakonatu skierowano mnie w czasie wakacji w 1990 r. do tworzenia we Wronkach nowego seminarium nowopowstałej prowincji Zakonu Braci Mniejszych p.w. św. Franciszka z Asyżu w Polsce z siedzibą główną w Poznaniu. I także tutaj ks. Witold pomógł nam w organizacji biblioteki oraz niektórych brakujących wykładowców. Tak nawiązała się moja ścisła współpraca z Ewą Węglarz, aktorką i przyjaciółką Andrzejewskiego. Szef interesował się bardzo tym, co robiłem w Zakonie: kiedy byłem na studiach na KUL-u, kiedy byłem wicerektorem WSD we Wronkach, a potem magistrem postulatu we Wschowie. W 2000 r. wysłano mnie do tworzenia nowej placówki w Toskanii we Włoszech. Pracuję do dziś w tych terenach, ale już na kolejnej placówce. Od 1991 r.

spotykałem się z ks. Witoldem o wiele rzadziej ze względu na różne zajęcia, ale kiedy mieliśmy okazję usiąść sobie razem, to nasze rozmowy toczyły się od tych duchowych po analizę realną sytuacji i szukanie rozwiązań. Pomimo wieku i choroby Szefer pozostał zawsze ojcowski, otwarty, pełen humoru, żartu i czułości, a ja go uważałem zawsze za mojego najlepszego przyjaciela, z którym mogłem rozmawiać o wszystkim i który dzielił się też ze mną swoimi bólami, przykrościami, które go dotykały czy decyzjami przełożonych, które napawały go smutkiem.

Ostatni raz, przy lampce czerwonego wina Nobile z Montepulciano, które mu bardzo smakowało i przywoziłem mu je w prezencie, spotkaliśmy się po śmierci mojej mamy jesienią 2014 r. Był bardzo zmęczony chorobą, ale nie chciał tego okazywać. Dumny ze swojej „młodzieży”, która już dorosła i miała swoje codzienne kłopoty: wdzięczny za ich przygotowania mieszkania, do którego miał się przeprowadzić na emeryturze i strapiiony decyzjami przełożonych, które nie mogły prowadzić do czegoś pozytywnego.

Ks. Witold wpoił mi miłość do woli Bożej, tam, gdzie nas postawi. On sam ukochał zawsze to, co Bóg przez przełożonych polecił mu robić, nigdy nie zaniedbując tego, co rozpoczął. Był człowiekiem o wielkim sercu, miłości do każdego, szczególnie młodzieży – tej młodej winorośli, która czasem potrzebuje przycięcia, czasem wsparcia, aby dobrze i właściwie rozwijać się, by dać obfity owoc. Bogu dziękuję, że postawił Szefa na mojej drodze, a Jemu – za lata duchowego ojcostwa i przyjaźni.